

PARZA

1918-2018

NR 13

LUBLIN

INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

9 X 2018

TEATRNN.PL/PARA

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN . PL

LUBLIN
1918 — 2018
INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

2

Cisi
bohaterowie

6

Sensor
pełną parą

10

Jak szkoły
z Lublina prowadziły
dyplomację z USA

11

Kreacja –
komiks

Studniówka „unitek” w 1939 roku. Czwartą od prawej (tuż pod obrazkiem na ścianie, we wzorzystej sukience) stoi Maria Rechtszaft, bohaterka artykułu Wioletty Wejman ze strony 4. Fot. z archiwum Danuty Riabinin.

ELEMENTARZ

L U B E L S K I

14 października obchodzimy Dzień Edukacji Narodowej, który upamiętnia rocznicę powstania Komisji Edukacji Narodowej. Dla nas motyw przewodni PA.RY nr 13 był więc oczywisty.

Walka z analfabetyzmem i poprawa warunków, w jakich uczyli się młodzi ludzie, były jednymi z podstawowych wyzwań, z jakimi musiały zmierzyć się władze II Rzeczypospolitej. To wtedy wprowadzano standardy

określające m.in. minimalną temperaturę: 12 stopni na korytarzach i w sali gimnastycznej, a 16 stopni w klasach.

Do dziś w Lublinie działają szkoły z rodowodami z dwudziestolecia międzywojennego. Do nich zalicza się chociażby gmach dawnej szkoły powszechnej zbudowanej na Czwartku, w którym dziś mieści się IV LO im. Stefanii Sempołowskiej. Ale mapa szkół międzywojennego Lublina to nie tylko ich architekto-

niczna szata. To także opowieść o wielokulturowości miasta. Budynek przy Szkolnej 16, dziś Narodowy Fundusz Zdrowia, planowany był jako świecka szkoła żydowska z wykładowym językiem jidysz. Wybuch II wojny światowej uniemożliwił jednak jej otwarcie.

Nasz lubelski elementarz nie jest kompletny, ale chcieliśmy w nim, choćby na poziomie podstawowym, przypomnieć o lubelskich szkołach, nauczycielach

i uczniach ostatnich stu lat. Również o cichych bohaterach naszej Niepodległości, do których bez wątpienia zaliczają się nauczyciele tajnego nauczania. Języka polskiego czy historii uczyli narażając własne życie. Uznaliśmy też, że w tej PA.RZE warto znaleźć miejsce dla tych, którzy uczniami są współcześnie.



Wiktor Czarnecki (w białym płaszczu), nauczyciel i organizator tajnego nauczania w Fajslawicach wraz z uczniami. Fotografia przekazana przez syna – Władysława Czarneckiego.

Wybuch II wojny światowej był początkiem destrukcji szkolnictwa w ówczesnej Polsce. Jediną możliwością, tak potrzebną dla zachowania tożsamości narodowej kształcenia się, było zejście do podziemia i rozpoczęcie tajnej działalności.

Stąd w okresie okupacji, obok walki zbrojnej, o zachowaniu polskości decydowała walka słowem, którą zapoczątkowali już w październiku 1939 roku cisi bohaterowie – nauczyciele tajnego nauczania.

Członkowie Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, ryzykując własne życie, stworzyli konspiracyjny system nauczania, kształcąc i wychowując młodzież w duchu patriotycznym. Do dziś żyją uczniowie tajnych kompletów, którzy wspominają swoich nauczycieli z okresu okupacji. To właśnie te opowieści o miejscach, ludziach i wydarzeniach chcemy przybliżyć w naszym projekcie „Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie”.

Po niespełna roku pracy nad projektem przygotowaliśmy listę nauczycieli tajnego nauczania na Lubelszczyźnie. Na chwilę obecną jest to prawie 1400 nazwisk nauczycieli wraz z nazwami miejscowości, w których uczyli. Dzięki kolejnym pozyskiwanym materiałom liczba ta wciąż rośnie. Przygotowaliśmy również 50 opowieści świadków historii (uczniów i nauczycieli kompletów), na temat tajnego nauczania i trudów życia w okresie okupacji. Zgromadziliśmy dziesiątki fotografii, dokumentów, wspomnień i nigdy niepublikowanych rękopisów. Wszystkie te materiały będzie można znaleźć już 15 października na portalu internetowym pod adresem teatrnn.pl/tajne-nauczanie.

Projekt „Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie” został sfinansowany przez Muzeum Historii Polski w ramach programu „Patriotyzm jutra”.

Piotr Lasota



Logotyp projektu, aut. Florentyna Nastaj.

CZYM BYŁO TAJNE NAUCZANIE?

Od listopada 1939 roku w Generalnym Gubernatorstwie mogły funkcjonować jedynie siedmioklasowe szkoły powszechne. Próby zdobycia wyższej edukacji ograniczały się do możliwości uczestnictwa w dwuletnich kursach, oferowanych przez szkoły zawodowe. Plan nauczania w tych szkołach najlepiej obrazują słowa Himmlera z 1940 roku:

„Mam nadzieję na zupełne wymazanie pojęcia Żydów przez umożliwienie powszechnej emigracji wszystkich Żydów do Afryki albo gdzie indziej, do jakiejś kolonii. W pewnej perspektywie czasowej musi być możliwe doprowadzenie do zniknięcia na naszym obszarze terminów oznaczających takie narody, jak Ukraińcy, Górale i Łemkowie. To samo, co powiedziano na temat odpryskowych narodów, obowiązuje w odpowiednio większej skali w stosunku do Polaków. Przy rozwiązywaniu wszystkich tych problemów podstawowym zagadnieniem jest szkolnictwo i związane z nim kwestie przeglądania i przesiewa-

nia młodzieży. Nieniemiecka ludność Wschodu nie może mieć żadnej wyższej szkoły ponad czteroklasową szkołę powszechną. Jedynym celem tej szkoły powszechnej jest proste rachowanie najwyżej do 500, pisanie nazwiska, nauka, że bożym przykazaniem jest być posłusznym Niemcom oraz uczciwym, pilnym i grzecznym. Czytanie uznaję za zbędne. Poza tą szkołą nie może być na Wschodzie żadnej innej szkoły”.

Początki tajnego nauczania na terenach okupowanych przez nazistów sięgają początkowych etapów II wojny światowej. Już 9 września 1939 roku rozpoczęła pracę Tymczasowa Komisja Szkolna. Komisja odpowiadała za przygotowanie edukacji na wszystkich szczeblach na terenie Krakowa. Od października podobne inicjatywy powstawały w całym kraju, organizowane zazwyczaj spontanicznie przez nauczycieli lub zainteresowanych rodziców, zarówno na terenie włączonym do III Rzeszy, jak i w Generalnym Gubernatorstwie.

Powołanie do istnienia w październiku 1939 roku Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON), będącej konspiracyjną komórką Związku Nauczycieli Polskich, nadało tym staraniom kierunek. Zanim jednak TON była w stanie objąć swymi działaniami szersze obszary, pierwsze projekty tajnego nauczania były efektem indywidualnych inicjatyw, rozsianych po całym Generalnym Gubernatorstwie i terenach włączonych do okupacji. Działo się tak jeszcze w 1940 roku.

Na terenie Lubelskiego TON przewodniczył Władysław Petrykiewicz. Gdy Petrykiewicz został aresztowany, na stanowisku prezesa Zarządu Okręgu ZNP w Lublinie zastąpił go Wiktor Helman. Oprócz Helmana i Petrykiewicza w kierownictwie organizacji działali też Antoni Kozłowski i Władysław Sakławski. Od 1940 roku funkcjonowało Okręgowe Biuro Oświaty i Kultury w Lublinie, będące kuratorium i przedstawicielstwem londyńskich władz, które reprezentował Jan Odroń.

Zajęcia na poziomie przedwojennej szkoły powszechnej mogły odbywać się zarówno w prywatnych mieszkaniach, na wolnym powietrzu, jak i w samych szkołach.

Podstawowy poziom tajnego nauczania często odbywał się w oficjalnej szkole. Wcześniej w odpowiedni sposób kamuflowano swoje działania: nauczyciel wpisywał narzucony przez okupacyjne władze temat do dziennika lekcji, polecał położyć na ławkach egzemplarze „Steru” lub przyrządy i materiały używane na zajęciach technicznych. W niektórych szkołach tajne nauczanie organizowano po lekcjach pod pretekstem zajęć dodatkowych. W Horodzierce uczennice szkoły żeńskiej oficjalnie zostawały dłużej, by uczyć się robótek ręcznych, tymczasem uczestniczyły w zajęciach z geografii, historii czy języka polskiego. Środki bezpieczeństwa i zachowanie pozorów były istotne, bowiem w szkole w każdej chwili mogła pojawić się kontrola.

Ci, którzy chcieli kontynuować naukę na poziomie wyższym niż szkoły powszechne, musieli uczestniczyć w tajnych kompletach, które organizowano już tylko w mieszkaniach uczniów lub nauczycieli. Według oficjalnego programu szkolnego Generalnego Gubernatorstwa od 1941 roku, po zakończeniu szkoły powszechnej, polscy uczniowie mieli kontynuować edukację w szkołach zawodowych i rolniczych.

Nielegalnie uczących się dzieci pilnowali rodzice, a nawet żołnierze polskiego podziemia. W niektó-

rych wypadkach wyszukiwano klasy, które dzięki odpowiednio rozmieszczonym oknom, pozwalały również na obserwację otoczenia.

[W Lublinie] jesienią 1939 roku rozpoczęły się pierwsze tajne komplety, prowadzone przez Janinę Pliszczyńską, specjalistkę od filologii klasycznej i Anielę Chałubińską, geografkę. Obie nauczycielki, reprezentujące „Unię”, dysponowały doskonałym wykształceniem i nieszablonowym podejściem do uczniów, ale w warunkach wojennych nie były w stanie samotnie utrzymać swoich kompletów. W mieście stopniowo organizowane były kolejne tajne szkoły. Często były to bardzo spontaniczne, napotykały przy tym na liczne kłopoty. Mniejsze komplety łączyły się więc w większe skupiska. W 1940 roku funkcjonowały trzy główne ośrodki tajnego nauczania w Lublinie. Pierwszy zorganizowano wokół dawnej kadry III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Unii Lubelskiej. Jego dyrektorka, Janina Malły, wiedziała, że oprócz zagrożeń przyniesionych przez wojenną zawieruchę, istnieją również te, które pojawiają się w chwilach kryzysu. Szok i rozczarowanie przyniesione przez kampanię wrześniową, następnie groza przetaczającego się przez Lubelszczyznę frontu, wprowadzenie rządów niemieckich – musiały przerazić dorosłych, a co dopiero dzieci. Początek niestannego zagrożenia mieszało się z marazmem.

W 1940 roku pojawił się w Lublinie Tadeusz Eustachiewicz, przedwojenny wizytator szkół średnich Poznańskiego Kuratorium Okręgu Szkolnego. Prowadził na ulicy Królewskiej sklep spożywczy. Jednak za jego fasadą odbywały się zajęcia dla młodzieży przesiadłej na Lubelszczyznę z ziem inkorporowanych do Rzeszy.

W roku szkolnym 1941/1942 przy „Unii” działało już osiem kompletów, na które uczęszczało 28 uczniów. Nauczyciele prowadzili też konsultacje dla młodzieży szkolnej z okolicznych miasteczek i wsi. W ciągu całej wojny dzięki edukacji w „Unii” 233 osoby uzyskały wykształcenie co najmniej na poziomie pierwszej klasy gimnazjalnej. Nauczyciele II Państwowego Gimnazjum i Liceum im. J. Zamoyskiego rozpoczęli organizowanie tajnych kompletów od 1940 roku. Matematyk Piotr Malec stopniowo wprowadzał pozostałych kolegów i koleżanki do podziemnego nauczania. Kilka miesięcy później w mieszkaniu Alojzego Paciorka, chemika, odbyło się zebranie kadry „Zamoyskiego”, która postanowiła jak najaktywniej włączyć się do tajnego nauczania. Oprócz działań w Lublinie nauczyciele prowadzili także zajęcia w Komarówce, Krecpcu, Belżycach, Milejowie, Niemcach i Wojciechowie.

Fragmety tekstu Michała Krzyżanowskiego, poświęconego tajnemu nauczaniu na Lubelszczyźnie. Całość dostępna od 15 października 2018 roku na portalu Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.



Logotyp projektu, aut. Florentyna Nastaj.



Jednym ze zdjęć wykonanych podczas tajnych kompletów, do którego udało się dotrzeć podczas realizacji projektu „Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie”, jest zdjęcie wykonane w Żyrzynie. Przechowywała je Pracownia Muzealna (dawniej Muzeum Oświatowe w Puławach) przy Szkolnym Schronisku Młodzieżowym w Puławach.

Na zdjęciu widać grupę ludzi. Stojący pośrodku mężczyzna z założonymi rękoma to Tadeusz Lutogniewski „Nabzdzyk”. Udało się dotrzeć także do jego dwóch uczennic, również uchwyconych na tej fotografii.

Jedną z nich, Barbara Mikulska, z domu Nowosielska, tak zapamiętała swojego nauczyciela: „Myśmy go bardzo lubili, to był chłopak, no, dwadzieścia trzy, cztery lata. My byśmy jeszcze takie dziewczynki młode, ale już podziwialiśmy jego wiedzę, jego dojrzałość – to był tak dojrzały intelektualnie i emocjonalnie człowiek”.

Drugą z uczennic, Helena Niedzielska, z domu Mikos, wspomina z kolei: „Cały materiał przerabiał z nami. Bardzo pracowity człowiek”.



Od lewej siedzą: Irena Furtak, Barbara Nowosielska (Mikulska), Zofia Szeptowska. Od lewej stoją: Jan Gronert, Henryk Szczęśny, Józef Kozak, Jan Furtak, Wacław Cieśla, Tadeusz Lutogniewski (Nabzdzyk), Waldemar Michna, Franciszek Drapała, Marcin Zarychta, Janina Rulka, Józef Mikos, Helena Mikos (Niedzielska).

Na kompletach u Tadeusza Lutogniewskiego uczyło się około 25 osób. Była mapa i książki. Lutogniewski załatwił je prawdopodobnie z gimnazjum Czartoryskich w Puławach. Potem nauczyciele z tego gimnazjum przeprowadzali w Żyrzynie egzaminy z przerobionego materiału. Miejsca nauki się zmieniały. Tydzień w jednym domu, tydzień u soltysa i znów gdzie indziej. Były też gotowe scenariusze na wypadek wizyty Niemców. Na przykład, gdy lekcje odbywały się u Todzi Bakierówny, dziewczynki z niepełnosprawnością, książki należało schować do pościeli w jej łóżku.

Tadeusz Lutogniewski urodził się w 1922 roku.

Pochodził z Kresów Wschodnich, ale prawie całe swoje dzieciństwo i młodość spędził w Poznaniu. Maturę zdał już podczas okupacji, po przesiedleniu do Lwowa.

Ojciec, podporucznik Wojska Polskiego, został rozstrzelany w Charkowie.

Tadeusz w Żyrzynie pod Lublinem tajne nauczanie prowadził ponad dwa lata. Uczyl języka polskiego i łaciny.

We wspomnieniach uczennic pojawia się także wątek, że Lutogniewski był ukrywającym się Żydem. Po wojnie Lutogniewski pracował w szkole spółdzielczości w Puławach. Zaczął też studia na Wydziale

Filozofii KUL. Potem wyprowadził się do Wrocławia. Na Uniwersytecie Wrocławskim studiował polonistykę. Pracował jako dziennikarz. We Wrocławiu pisał dla takich tytułów, jak „Naprzód Dolnośląski”, „Gazeta Robotnicza”. Współredagował m.in. „Nowe Sygnały” (pierwszy po wojnie tygodnik kulturalny we Wrocławiu) a także „Odrę”. Był też krytykiem teatralnym. Przez pewien czas pełnił również funkcję kierownika literackiego w Teatrze Współczesnym. Zmarł w 2002 roku.

Piotr Lasota



od Ludmiłówki, w gminie Dzierzkowice – rodzice wystawiali czujki i w razie, jeżeli zbliżaliby się Niemcy, to mieliśmy nakazane, żeby zeszyty pod bluzę gdzieś schować i pojedynczo rozchodzić się do domów, czy do sąsiadów.

Zdzisław Latos, ur. 1933

Te komplety odbywały się u mnie w domu na Staszica 14. O określonej godzinie przychodzili nauczyciele i wykładali nam przedmioty takie, których w zawodowej chemicznej szkole nie było: znaczy historię Polski, język polski, geografę, łacinę. Pamiętam kierownika tego kursu, to był profesor Santocki. Wiedziałem chyba od rodziców, że był kierownikiem czy organizatorem naszego tajnego nauczania. Natomiast innych nazwisk, niestety, nie pamiętam. Ze względu [na bezpieczeństwo] myśmy ich nie znali.

To się odbywało, o ile pamiętam, dwa razy w tygodniu. Prawdę mówiąc myśmy chyba sobie nie zdawali w pełni sprawy z niebezpieczeństwa, jakie grozi [nam], rodzicom i nauczycielom. Myśmy przychodzili na określoną godzinę i była umowa, że w razie czego to my sobie pijemy jakąś oranżadę i gramy w jakieś dziecinne czy młodzieżowe gry.

Andrzej Badyoczek, ur. 1930

Zapadła decyzja, że będę chodził na tajne nauczanie. Przerabialiśmy piątą, szóstą i siódmą klasę. Przychodziliśmy ustalonymi grupkami: cztery osoby, pięć osób do poszczególnych nauczycieli albo do domów prywatnych. Nauczyciele to ustalali. Zawsze chcieli, żeby były dwa wyjścia, żeby młodzież mogła uciec, gdyby Niemcy zainteresowali się. Uczylem się wszystkich przedmiotów z okresu międzywojennego. Mówiąc szczerze, to było samouctwo. Bo myśmy przecież nie chodzili na zajęcia codziennie. Raz w tygodniu się chodziło do jednego nauczyciela, do innego specjalisty innym razem. Nauka polegała na tym, że nauczyciel [objasniał] trudniejsze partie materiału. A potem z podręcznika metodą paznokciową, jak to się mówi – „Macie od tej do tej strony nauczyć się”. I w ten sposób uczyłem się. Po wyzwoleniu, jak przyszedł lipiec, to nauczyciele nam dali karteczki, że zaliczyłem taki przedmiot, z takiego przedmio-

tu, w takim zakresie. Z oceną taką i taką. Myśmy to złożyli w inspektoracie szkolnym, komisja potem to przejrzała. I wydała nam już po wojnie świadectwa. I na tej podstawie mogłem uczyć się dalej.

Jan Longin Okoń, ur. 1927

Skończyłam szkołę podstawową, nie było mowy o szkole średniej, ale było tajne nauczanie zorganizowane przez nauczycieli naszej szkoły podstawowej. Muszę przyznać, że to była bardzo dobra kadra. Tajne nauczanie odbywało się w domach i to nie tak było, że w jednym domu, raz w jednym, raz w drugim, raz, bo okazuje się, tak jak wszędzie są parszywe owce, tak i tu mógł ktoś o tym donieść, a to było przecież niedozwolone. Szło się na pięć, sześć godzin. Były wszystkie przedmioty po kolei, bo tam nie było nauczycieli od każdego przedmiotu. Czasem polonista był matematykami.

Irena Zamościńska, ur. 1929

Zbieraliśmy się tak po pięć, sześć osób i mieliśmy normalne lekcje. To się odbywało między innymi na Niecałej, w mieszkaniu stryja Kałużyńskiego, który był prawnikiem i adwokatem. No i ponieważ on zachorował czy coś takiego, więc przez kilka tych lekcji zastępował go Zygmunt Kałużyński. [Zapamiętałam go] jako przystojnego bruneta, bardzo sympatycznie te lekcje prowadził.

Janina Wójtowicz, ur. 1924

W czasie okupacji chodziłam na komplety tajnego nauczania. Takie trzy miejsca pamiętam gdzieś się chodziło uczyć. Na Zamojskiej, na Lubartowskiej, potem na Weteranów i chyba na Okopowej. Mówiono nam, gdzie mamy iść. Kilka osób przychodziło. Książek żeśmy nie miały oczywiście. Wszystko się tam na miejscu miało, nie można było książek żadnych nosić. Wchodzili nauczyciele i nas uczyli. Myśmy się potem po kryjomu rozchodzili, żeby nas nikt nie widział. I każda lekcja była u kogo innego. Pamiętam, że ja chodziłam na naukę tajnego nauczania z historii i z polskiego. [Nauczycielką], która nas uczyła, była repatriantka, gdzieś spod Gdyni czy Gdańska. Pamiętam, że mieszkała przy ulicy Targowej. I jak było bombardowanie w Lublinie, 11

maja, to ona zginęła ze swoim dzieckiem. Nawet nie pamiętam, jak ona się nazywała.

Olga Szymona, ur. 1925

Miałem w Chełmie grupę [uczniów]. I była taka sytuacja. Tego dnia, w którym ja miałem zajęcia z młodzieżą w domu prywatnym, przyszedł policjant. Nasz polski policjant, służący u Niemców, Tarapata, który był [jednocześnie] członkiem ruchu oporu. I tenże pan Tarapata przyszedł do mnie i powiada cicho, że on coś słyszał, że tutaj coś się dzieje w tej okolicy, że on gestapo może przyjść. Ten policjant przyszedł, a ja natychmiast zwoleńcem tę piątkę czy szóstkę młodzieży i uciekłem, że tak powiem. I faktycznie za pół godziny otoczyli ten dom Niemcy, gestapo. No, ale nas już tam nie było. I w ten sposób uniknąłem aresztowania.

Piotr Pruss, ur. 1911

Zima w Lublinie była bardzo ciężka, było do minus 40 stopni. Ja wtedy zaczęłam chodzić do szkoły, ale po dwóch tygodniach Niemcy zamknęli tę szkołę. I wtedy nauczycielka mojej klasy powiedziała, że ona będzie prowadzić tajne komplety. I ja chodziłam na tajne komplety, które były w prywatnych domach i tak przerobiłam drugą klasę.

Joanna Rulikowska, ur. 1931

Chyba w połowie listopada Niemcy zamknęli nam szkołę. I potem właśnie profesorowie zaczęli organizować tak zwane komplety tajnego nauczania. Nauka na tych kompletach odbywała się w kilku domach. Uczyliśmy się tych najważniejszych przedmiotów: polski, historia, łacina, matematyka, takie główniejsze przedmioty. Te komplety trwały bodaj jakieś trzy, cztery miesiące, dokładnie nie pamiętam. W czasie, kiedy odbywała się nauka, ktoś musiał stać i pilnować na straży, żeby Niemcy nie wykryli, bo to było tajne. Kiedy Niemcy zaczęli aresztowania i zaarrestowano chyba pana Boguszewicza, czyli profesora od matematyki, troszkę pod strachem rozwiązały się te komplety.

Maria Struzik, ur. 1922

Wybrała Wioletta Wejman

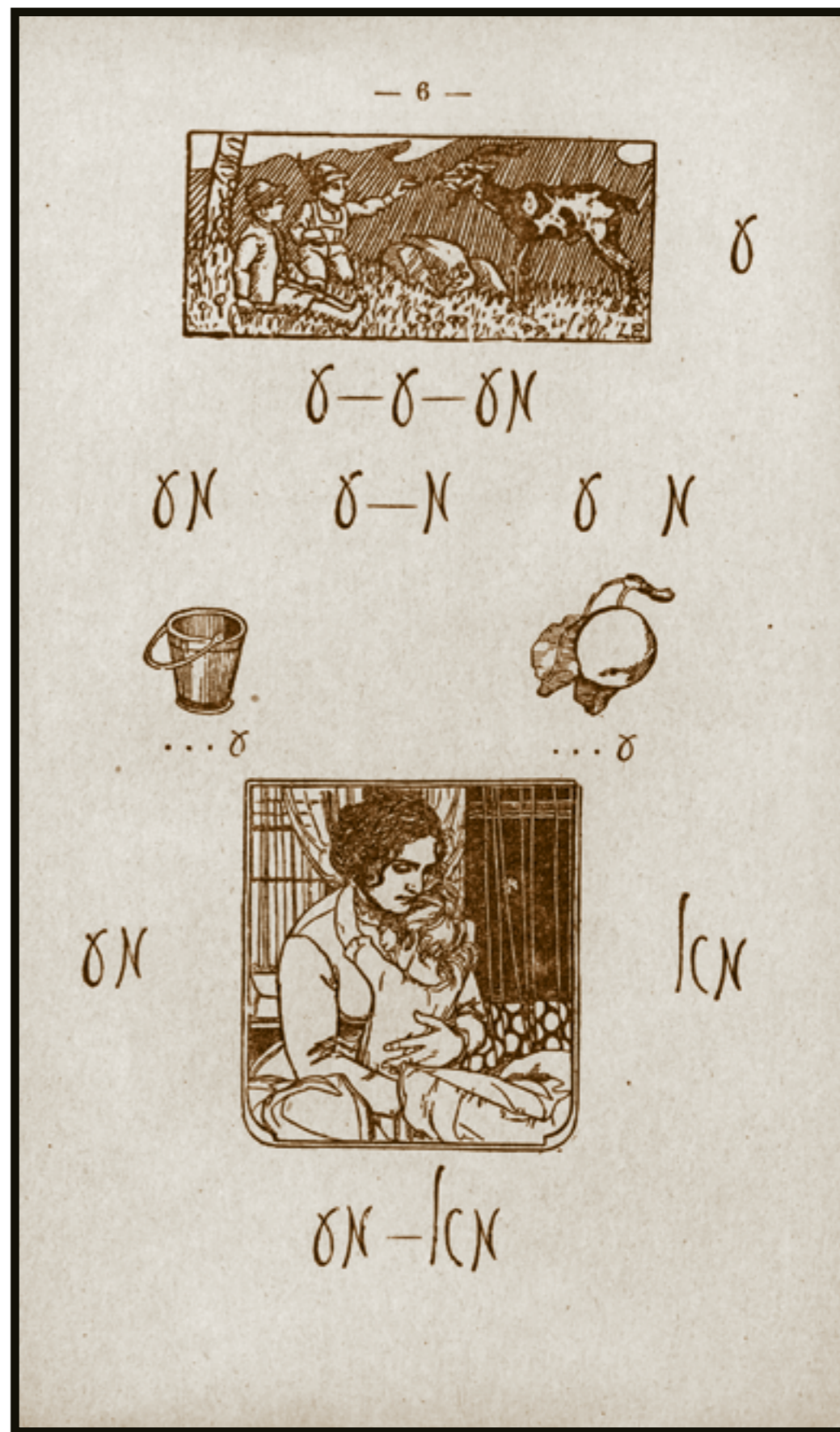
NIEZREALIZOWANY SEN

W ostatnich dniach na makiecie Lublina w Bramie Grodzkiej pojawił się nowy element – model Domu Ludowego im. Iechoka Lejbusza Pereca na Czwartku, zbudowany przez Marcina Wacińskiego, według oryginalnego projektu inż. Henryka Bekkera. Gmach planowany był jako nowa siedziba dla świeckiej szkoły żydowskiej im. Pereca z wykładowym językiem jidysz, która funkcjonowała na prawach innych szkół powszechnych. Warunki, w jakich uczyły się dzieci z tej szkoły, były skrajnie złe i niewiele różniły się od tych, panujących w biednych domach bez okien na Podzamczu, z których pochodziła większość uczniów. Szkoła mieściła się w rozpadającej się szopie, pozbawionej elektryczności i ogrzewania, placówce brakowało odpowiednich materiałów, a dzieciom często butów i ciepłego obiadu. Mimo wielkiego wysiłku, który nauczyciele szkoły im. Pereca wkładali w wychowanie swoich uczniów na Żydów znających swoją historię i kulturę oraz na świadomych i zaangażowanych obywateli Polski, trudności materialne często uniemożliwiały realizację tego zadania. Bela Szpiro, jedna z pomysłodawczyń budowy Domu Pereca, pisała w 1938 roku: „Nie budujemy Domu Ludowego z kaprysu czy luksusu. Ta budowa jest dla nas w obecnych czasach palącą koniecznością”. Konieczność ta pozostałaby paląca przez wiele kolejnych lat, gdyby nie ogromna ofiarność mieszkańców Lublina, ale przede wszystkim Żydów lubelskich, mieszkających w USA. To dzięki ich pomocy finansowej i organizacyjnej pod koniec sierpnia 1937 roku na placu budowy na Czwartku wbito pierwsze łopaty. W tym nowoczesnym, jak na owe czasy, budynku, oprócz samej szkoły, przewidziano miejsce na obszerną salę gimnastyczną i teatralną oraz dla świeckich instytucji związanych z żydowskim życiem kulturalnym, m.in. orkiestry i chórów oraz Biblioteki im. Medema,

jedynej niereligijnej biblioteki żydowskiej w mieście. Co ciekawe, Dom Pereca budowano w bliskim sąsiedztwie Jesziwy Mędrców Lublina, religijnej uczelni założonej przez Majera Szapirę, która przygotowywała chłopców do pełnienia funkcji rabinów. Bela Szpiro pisała: „Chcemy powiedzieć światu żydowskiemu, że w Lublinie istnieje także inne życie żydowskie, a reprezentuje je imię nie rabina Majera Szapiry, lecz I.L. Pereca. Stąd właśnie Dom Ludowy nazwaliśmy jego imieniem”. Otwarcie nowej siedziby dla szkoły im. Pereca zaplanowano na wrzesień 1939 roku, jednak plany te przekreślił wybuch wojny, stąd również na naszej makiecie gmach jest nieukończony i nieotynkowany, czym wyraźnie odróżnia się od modeli innych budynków.

Po II wojnie światowej w budynku działała żydowska szkoła, ale funkcjonowała tam zaledwie dwa lata, a nauka w niej odbywała się w języku polskim. Dom Pereca pozostał zatem niezrealizowaną nigdy ideą, snem o nowoczesnym szkolnictwie żydowskim w Polsce, prowadzonym w żydowskim języku. Po wojnie budynek został przebudowany i mocno odbiega od pierwotnego założenia inż. Bekkera. Obecnie mieści się w nim siedziba Narodowego Funduszu Zdrowia (dzisiejszy adres: ul. Szkolna 16, przed wojną Czwartek 4). Oprócz szkoły im. Pereca w okresie międzywojennym w Lublinie działała także szkoła Tarbut z wykładowym językiem hebrajskim. Również ona realizowała polski obowiązek szkolny i posiadała prawa szkoły powszechnej. W mieście funkcjonowały także szkoły żydowskie, których językiem wykładowym był polski. Przykładami takich placówek były gimnazjum Sperów z ul. Zamojskiej 12 i Gimnazjum Humanistyczne przy ul. Niecałej 3 (część żeńska) i ul. Radziwiłłowskiej 5 (męska).

Piotr Nazaruk



Powyżej: Przykładowa strona z książki „Lebedike klagen” („Żywe dźwięki”), elementarza do nauki języka jidysz wydanego w Wilnie w 1928 r. Na ilustracjach słowa: „mee” (dźwięk wydawany przez kozy), „mame” (mama) oraz do uzupełnienia słowa „epl” (jabłko) i „emer” (wiadro). Zbiory Biblioteki Narodowej.

Obok: Model Domu Pereca na makiecie w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”. Gmach miał zostać nową siedzibą dla szkoły im. Pereca, jednak jego otwarcie przekreślił wybuch II wojny światowej.

Na następnym: Winiety i okładki czasopism uczniowskich z Lublina: „W Słóyce” (Gimnazjum Zamojskiego) i „Życia Uczniowskiego” (pismo młodzieży żydowskiej), lata 20. i 30. XX w., zbiory WBP im. Łopacińskiego i Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

DZIEWCZYNIKA Z PAMIĘTNIKA

O kim dzisiaj powinnam napisać? O małej Basi Bryeman, która pojawia się na kilka sekund w przedwojennym filmie o Kurowie i zawiadająco uśmiecha się w ostatniej scenie? O Andzi Borensztajn, która kilka dni przed wybuchem wojny w rozmowie ze swoją koleżanką przewidziała swój los, mówiąc, że jeżeli wojna wybuchnie, to ona jej nie przeżyje? O dwunastoletniej, niebieskookiej Gabrysi, która poprosiła swoją opiekunkę o truciznę, bo wiedziała, co Niemcy robią z Żydami we Lwowie? O małym braciszku Małki Najmark, którego ta nie mogła zabrać ze sobą do kryjówki? A może o dziewczynce, która spoglądała na świat przez okno kamienicy stojącej do dzisiaj przy ulicy Radziwiłłowskiej 5 w Lublinie?

Kamienica nie wyróżnia się niczym szczególnym, więc nie zwracałam na nią uwagi do dnia, kiedy pani Danuta Riabinin wyciągnęła ze swojej szuflady szkolny pamiętnik. Niewielki, z tłoczoną brązową okładką, cudem ocalał wyciągnięty w pierwszych dniach wojny spod gruzów domu, w którym mieszkała moja rozmówczyni. Starannie oklejony taśmą, tak, by nie wypadła żadna strona. Na lekko pozółkłych kartkach wykładowane wpisy i kolorowe rysunki. Pani Danuta, absolwentka Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, skrupulatnie opowiadała mi o każdej osobie, która pozostawiła w nim swój ślad. Zbliżaliśmy się już do końca, mój dyktafon rejestrował opowieści o losach „unitek” i ich udanym życiu, mimo że ich młodość przypadła na czas okupacji. Kiedy pani Danuta otworzyła przedostatnią stronę z wierszem Adama Asnyka, zaszkliły się jej oczy. „To nasza Marynia. Ona była z rodziny żydowskiej. Nie wiem, co się z nią stało, ale na pewno nie przeżyła okupacji, bo przecież by się do nas odezwała”.

Nie wiadomo, kto ostatni raz widział Marię. Stanisława Zimnicka – szkolna koleżanka Marii – wspomina, że podczas wojny przyjeżdżała do niej do Lublina i przywoziła jej chleb. Pewnego razu Marysia odprowadziła ją do autobusu. Na ramieniu miała już opaskę z gwiazdą Dawida. Kiedy Stanisława wsiadła do autobusu jadącego w kierunku Piask, zaczepił ją siedzący obok mężczyzna. „(...) on w pewnym sensie zgorszył się tym. Zgorszył się, że pozwoliłam się odprowadzić koleżance z lentą, z tym żydowskim znakiem. A ja uważałam to za rzecz normalną, bo to była moja koleżanka szkolna”. Danuta Riabinin zapamiętała, że przypadkiem spotkała Marysię w mieszkaniu jakiejś wspólnej koleżanki. Sprzedawała gazetę i watę. „(...) oczywiście wszystko kupiliśmy, co tylko można było, ale ona była taka przerażona, że w ogóle nie chciała mówić. To już był taki śmiertelny strach w jej oczach. To były oczy człowieka, który wie, że jest skazany (...)”.

Julia Hartwig spotkała Marię u wylotu ulicy Lubartowskiej, podobno wtedy getto było już zamknięte. Stała tam ze swoją koleżanką Rajzlą Rubinfajer. Chwilę porozmawiały. Po latach Julia Hartwig napisze wiersz „Koleżanki”, w którym szczególnie zaakcentuje to ostatnie spotkanie:

*Głos łacinniczki był jakby trochę ostrzejszy,
kiedy się do nich zwracała.*

(Nigdy po imieniu.)

*Miriam była zawsze doskonale przygotowana,
Reginka słabsza, ale poprawna.*

Trzymały się razem

i razem wychodziły z klasy przed religią.

*Ostatni raz spotkałyśmy się niespodziewanie
u wylotu Lubartowskiej,
na granicy świeżo utworzonego getta.
Stały tam onieśmielone jakby przydarzyło im się coś
wstydlivego.*

(Julia Hartwig, *Koleżanki*,
z tomu *Bez pożegnania*)

Nie wiemy, jakie były dalsze losy Marii Rechtszaft. Jej nazwiska nie ma na liście wysiedlonych na teren utworzonego getta na Majdanie Tatarskim. Może próbowała znaleźć jakiś ratunek? To, że przeżyła, jest mało prawdopodobne. Raczej udałoby mi się znaleźć jakiś ślad jej powojennego życia.

A co było przed wojną? Nauka w jednym z najlepszych gimnazjów w Lublinie i doskonale stopnie. W archiwum obecnego III Liceum Ogólnokształcącego im. Unii Lubelskiej w Lublinie zachowały się przedwojenne dokumenty. Maria Rechtszaft miała same czwórki i piątki. Jedyne z ćwiczeń cielesnych dostateczny. Niewątpliwie była prymuską i urodzoną humanistką. Wiosną 1939 roku sześćdziesiąt uczennic III Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Unii Lubelskiej przystąpiło do matury. Zachowały się odpisy ich maturalnych świadectw – wysokie noty osiągnięte na egzaminie dojrzałości uplasowały siedemnastoletnią Marię Rechtszaft w gronie pięciu najlepszych maturzystek. Jakie mogły być jej plany na przyszłość? Po latach pytam o to jedną z ówczesnych maturzystek, prof. Marię Modzelewską: „(...) nikt z nas jakoś tak o tych planach nie opowiadał. Człowiek żył bieżącym życiem, ponieważ takie częste zmiany następowały, przecież nadchodziła wojna (...)”.

Kiedy próbuję poskładać skrawki czyjejszego życia, zawsze odczuwam potrzebę zobaczenia, jak ta osoba wyglądała. Świadectwa maturalne rocznika 1939 są jedynymi, na których nie ma zdjęć absolwentek. Ale zdjęcia Marysi zachowały się w przepastnych al-

bumach moich rozmówczyń. Choćby te: studniówka w 1939 roku w mieszkaniu jednej z uczennic przy ulicy Ogrodowej. Na wszystkich zdjęciach Marysia patrzy w obiektyw i lekko się uśmiecha. Nikt już nie pamięta, jaki kolor miała jej sukienka.

Co było wcześniej? Nie spotkałam nikogo, kto pamiętałby małą Marysię Rechtszaft. Wszystko, co wiem o jej dzieciństwie i rodzinie, pochodzi z dokumentów, które przetrwały w archiwach. Jej ojciec, Ludwik, był znaną postacią – lubelskim adwokatem i współzałożycielem ukazującego się po polsku tygodnika społeczno-kulturalnego „Myśl Żydowska”. Ale archiwa nie dają odpowiedzi na wiele pytań. Nie wiem, jakich bajek słuchała mała Marysia – czy opowiadała je jej matka, czy może ojciec. A może dziadek Henoch, który mieszkał w tej samej kamienicy? Nie wiem, jakie miała zabawki i gdzie wyjeżdżała na wakacje. Jakie czytała książki i jakie były jej ulubione miejsca w Lublinie. Ale dzięki wpisowi, który zostawiła w pamiętniku, dzięki dokumentom, które przetrwały i dzięki opowieściom jej koleżanek wiem, że istniała. I kiedy mijam kamienicę przy ulicy Radziwiłłowskiej 5 (przed wojną nr 3), myślę o urodzonej 11 kwietnia 1922 roku w Lublinie Marii Rechtszaft, córce Chany i Ludwika. Spoglądam w okna, przez które musiała patrzeć na świat „dziewczynka z pamiętnika” i zadaję sobie pytanie: czy uda mi się znaleźć kolejne ślady jej istnienia?

Wioletta Wejman

Artykuł powstał z okazji Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Po raz pierwszy ukazał się na blogu Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” 27 stycznia 2017 roku.

Odtwarzanie losów Marii Rechtszaft nie byłoby możliwe, gdyby nie pomoc i zaangażowanie wielu osób. W tym miejscu pragnę wszystkim podziękować. W tej historii wciąż jest wiele niewiadomych. Jeżeli ktoś z czytelników posiada jakiegokolwiek informacje o rodzinie Rechtszaftów, będą niezmiernie wdzięczna za kontakt.

„POŻAL SIĘ BOŻE
WIERSZYKI”

Krakowskie Przedmieście na wysokości placu Litewskiego, lata 30. XX wieku. Na zdjęciu widoczny trzy uśmiechnięte młode dziewczyny. To tak zwane „unitki” – uczennice Gimnazjum im. Unii Lubelskiej; od lewej: Maria Madej, Julia Hartwig i Anna Kamińska. Napis na odwrocie zdjęcia informuje, że fotografia została wykonana w 1935 lub 1936 roku. W tym właśnie czasie Julia Hartwig, mając zaledwie czternaście lat, debiutowała jako poetka w piśmie międzyszkolnym „W Słońce”, wzbudzając swoim młodym wiekiem sensację wśród redaktorów pisma. Sama poetka po latach bagatelizowała swoje ówczesne dokonania literackie („debiutowałam kilkanaście lat, pożal się Boże, wierszykami”), natomiast z wielkim uznaniem wypowiadała się o szkole, w której przyszło jej się uczyć. W rozmowie przeprowadzonej przez Marię Brzezińską dla Radia Lublin (1983 r.) wspominała: „Chodziłam do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej i bardzo jestem dumna z tej szkoły. To była wspaniała szkoła, w której wykładali wspaniali profesorowie i naprawdę mam im wiele do zawdzięczenia”. Kilkanaście lat później, w rozmowie z Agatą Koss dla czasopisma „Kresy” (1997 r.) wyznała: „cały mój fundament humanistycznych zainteresowań wywodzi się właśnie stamtąd (...). Ze szkoły wyniosłam poczucie godności obywatelskiej, co dziś wydaje się zamierzonym przeżytkiem, i umiejętność współżycia z otoczeniem”.

Na zdjęciu, w tle, za uśmiechniętymi dziewczętami, widać pomnik Unii Lubelskiej na placu Litewskim i fasadę Hotelu Europejskiego. W oficynie tego budynku znajdowało się mieszkanie rodziny Hartwigów (później przeprowadzili się na ulicę Narutowicza 23) i pracownia fotograficzna Ludwika Hartwiga, ojca poetki. We wrześniu 1939 roku niemieckie bomby spadły na oficynę hotelu, całkowicie niszcząc zakład Ludwika Hartwiga wraz z bogatym archiwum fotograficznym, dokumentacją dwudziestolecia międzywojennego w Lublinie.

Marcin Fedorowicz



Anna Kamińska urodziła się w Krasnymstawie w 1920 roku. Od roku 1925 przebywała w Lublinie. Uczęszczała do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Przyjaźniła się z Julią Hartwig. Do jej debiutu poetyckiego w „Płomyczku” (nr 32/1936) przyczynił się Józef Czechowicz, pracujący jako redaktor w tym piśmie. W 1937 roku rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym w Warszawie, którego nie ukończyła z powodu wybuchu wojny. Kontynuowała naukę w Lublinie na tajnych kompletach. Tu też zdała tajną maturę. Przez całą wojnę była bardzo zaangażowana w pomoc biednym i osieroconym dzieciom. Należąc do tajnego harcerstwa organizowała w Lublinie sierocińce. Obok zapewnienia dzieciom jedzenia i dachu nad głową czytała z nimi książki, a nawet przygotowywała przedstawienia teatralne. Pomagała też więźniom z Majdanka. Wspomina o tym: „Przez długi czas podczas okupacji mieszkaliśmy blisko Majdanka. Więźniom można było co pewien czas dostarczać bochenek chleba. W grypsach przesyłanych przez druty przerosło o przysłanie poezji. Chleb piekło się u nas w większym piecu chlebowym. Moja babka umiała zapiekać książki w chlebie tak, żeby ich nie uszkodzić. W ten sposób udało się, mimo kontroli Niemców, tych, którzy niektóre bochenki dźgali nożami, przemyścić za druty: *Dziady* Mickiewicza, *Wesele* Wyspiańskiego i tom poezji Słowackiego. Poezja krążyła w obozie – przyszła w chlebie i była potrzebna jak chleb. (...) To nieprawda, że *Inter arma silent Musae*. Słowo poetyckie potrzebne było w najcięższych chwilach. I wtedy właśnie widać, jak jest naprawdę potrzebna”. [Anna Kamińska „Scriptores”, nr 40, s. 41]

Jednym z nauczycieli Kamińskiej w czasie wojny był profesor Mieczysław Popławski (1893-1946), profesor filologii klasycznej i kultury klasycznej na KUL-u. W jego mieszkaniu odbywały się prowadzone przez niego tzw. tajne komplety. Pisze o nim Anna Kamińska w swojej książeczce „Rozmowy z Profesorem Daleczko”, dedykowanej „nauczycielom czasów wojny i okupacji (1939-1945)”. Książka opowiada o młodych ludziach w okupowanym Lublinie, którzy na tajnych kompletach uczyli się o kulturze starożytnej Grecji i Rzymu. Była to forma przeciwstawienia się przez nich niemieckiemu najeźdźcy, przejaw ich duchowej dzielności i niezależności. Wszystko to świadczyło o ich niezłomnej wierze w kulturę wbrew temu, co działo się wokół nich.

Tomasz Pietrasiewicz

STWORZENIE ŚWIATA

Jedno ze wspomnień niezjącego już mieszkańca Miasta Żydowskiego Mariana Milsztajna związane jest z chederem, który znajdował się przy Wielkiej Synagodze na ulicy Jatecznej. Dokładnie tu, gdzie dzisiaj przebiega droga, gdzie jest chodnik i trawnik. Tu, gdzie dzisiaj nie ma, stał budynek, w którym nauczyciel ów opowiadał o stworzeniu świata i uczył dzieci alfabetu.

Marian Milsztajn:

„Mieliśmy melameda, który potrafił przekazać materiał. Pamiętam, jak się rozpoczęło: „Na początku Bóg stworzył świat. Niebo i ziemię. I wszyscy patrzyli, jak pokazywał: do góry, gdzie jest niebo, w dół – gdzie ziemia”.

„Rozpoczęła się lekcja, siedziało 20, 25 dzieci i melamed – nauczyciel. Przyszedł, usiadł sobie na wysokim krześle: „Ptasięta, kureczki moje. To jest litera A. Powtórzcie: To jest litera A”. Głosiki nędzne, malutkie. „Głośniej mówić, kociątka”.

„Drugi dzień. „Owieczki kochane, to jest litera B – bet”. I tak miesiąc, dwa harowaliśmy nad alef, bet, nad alfabetem i mogliśmy powiedzieć alef, bet, gimel aż do taw – 22 literki”.

SENSOR PEŁNĄ PARĄ

Przed wojną była w Lublinie „Młodzież”, było „Życie Uczniowskie” i „W Słońce”. Wiele nam mówią podtytuły tych periodyków. Zachowując tę samą kolejność: „Pismo lubelskiej młodzieży szkolnej”, „Pismo żydowskiej uczącej się młodzieży”, „Dwutygodnik poświęcony literaturze – sztuce – nauce i życiu. Wydawnictwo młodzieży szkolnej Gim. im. H. J. Zamoyskiego w Lublinie”.

W ostatnim ze wspomnianych, w roku 1936 debiutuje wierszem niejaka Julia Hartwizanka, późniejsza stawa polskiej poezji. Znana nam jako Julia Hartwig. Powiedzieć, że tylko wtedy to było możliwe, że tylko w tamtych czasach w mie-

dzyszkolnych gazetach były wywiady z Czechowiczem, że już nie będzie tak samo, znaczy po prostu pograć się w próżnej nostalgii.

Gdy poznaliśmy młodych dziennikarzy z „Sensora” – gazety III LO im. Unii Lubelskiej, od razu uderzył nas ich zapach. I już wiedzieliśmy, że nie możemy postąpić inaczej. W numerze szkolnym „PA.RY” udostępniamy im całą stronę, bo choć są jeszcze młodzi, to już teraz nie boją się mieć własnego zdania. I w tym ich niewyrobionym, nieoszlifowanym głosie jest coś, co otwiera, zamiast zamykać tych sto lat historii Lublina.

HISTORIA JEDNEJ LALKI

Łoj, dziecko! To było prawie osiemdziesiąt lat temu. Lalka szmacianka była wtedy marzeniem każdej dziewczynki.

Z wieloma lalkami wiąże się jakaś historia – wesoła lub smutna, o niezliczonych zabawach lub o wojnie i ciężkiej pracy. Jedną z tych historii opowiedziała mi babcia.

Uszyta z płótna, wypchana szmatkami i trocinami. Piękna buzia, oczy, rzęsy – wszystko namalowane. Dwa rude warkocze z włóczki, nieudolnie przyklejone

do głowy, opadające na buzię. Zielone buciki zdobione kolorowymi kwiatkami – również namalowane. Spódniczka w kwiaty, kolorowa bluzeczka, a na niej żabocik. Tak babcia Alusia opisuje swoją lalkę szmaciankę. Niesamowite. Po przeszło 70 latach pamięta jej każdy szczegół!

Babcia Alusia urodziła się w 1941 r., w czasie II wojny światowej. Całe życie mieszkała i pracowała pomagając rodzicom w niedużej wiosce pod Lublinem. – Karmiłam kury, sprzątałam, gotowałam, w pole chodziłam robić. Później miałam iść się uczyć do Lublina, a może nawet do Warszawy, ale to były inne czasy. Rodzice postanowili, że brat się będzie uczył, a ja zostanę z nimi. Nie wiem, co by było jakimś wyjechała. A teraz mam pięcioro kochanych dzieci, dwanaścioro wnucząt i siedmioro malutkich prawnucząt! Nie ma co głybać – mówi.

O lalce opowiada z dużym wzruszeniem zaznaczając, że szmacianka nie była tylko zabawką. Dla dzieci często najlepszą przyjaciółką, powierniczką sekretów, czy pocieszycielką w trudnych chwilach. Bywała brudna, ochlapana błotem czy obsypana piachem. „Mogła mieć podartą spódniczkę lub uszkodzone buciki, ale zawsze spełniała swoją najważniejszą rolę – była najlepszym słuchaczem, jakiego można było sobie wymarzyć – wspomina babcia i podkreśla: Lalka szmacianka była wtedy marzeniem każdej dziewczynki, a nie było o nią łatwo. Ja dostałam ją od chrzestnego, zawsze byłam jego oczkiem w głowie. Wszystkie koleżanki zazdrościły mi Zosi, bo tak ją nazwałam. Zosia była wszędzie tam, gdzie ja. Jak chodziłam do koleżanek, to zawsze musiałam ją zabrać ze sobą. Nawet jak szłam pomagać rodzicom w polu, to Zosia razem ze mną.

Historia Zosi ma jednak smutny koniec. Babcia wspomina: – Miałam tylko brata Tadka, więc Zosia była dla mnie jak siostra. Pamiętam, jak kiedyś pokłóciłam się z Tadkiem i on urwał Zosi nogę. Ze środka wyleciały trociny, a urwana noga już do niczego się nie nadawała. Zaszłam lalce tę „ranę” i później bardzo się o nią troszczyłam. Dawałam jej lekarstwa, śpiewałam kołysanki, nawet uszyłam mały kocyk – specjalnie dla niej. Pewnego razu stwierdziłam,

że Zosi na pewno jest zimno, więc chciałam ją ogrzać przy piecyku. Chyba podeszłam zbyt blisko, a że byłam mała i niezdarła, to moja ukochana szmacianka wleciała do środka i splonęła. Podobno strasznie za nią płakałam, ale o tym już powiedziała mi mama. Ja pamiętam jedynie, że niedługo po tym sama chciałam sobie uszyć taką drugą Zosię, ale nie do końca mi to wyszło.

Z opowieści babci wiem, że w czasach jej dzieciństwa zabawki nie były czymś powszechnym, ogólnodostępnym ani tanim. Jednak wymyślenie nowej zabawy wymagało jedynie bycia dzieckiem. W słonecznikach zerwanych na polu mali chłopcy widzieli kierownice pojazdów, którymi z zawrotną prędkością poruszali się, strasząc okoliczne koty. Błoto było świetnym basenem, materiałem na kotlety czy zupy, których próbowali tylko najodważniejsi. Piłeczki z sierści krowy spełniały swoje zadanie, będąc w wyobraźni piłkami z meczów z prawdziwego zdarzenia. Łódeczki z papieru i kory stawały się bogatymi statkami, spod których słycały było szum morskich fal, mimo że jedyne, gdzie pływały, to okoliczne kałuże czy potoki. Gwizdki z gałązek wierzby doskonale odpędzały wrony, a fajerka toczona po drodze spełniała rolę zabawkowego samochodziku. Starsi śmiałkowicie bawili się procami, strzelając do celu lub nożami, próbując się nie skaleczyć, rzucając w ziemię czy stukając między palcami. Grano też w palanta i robiono piłeczki z folii, trocin i gumki. Zwierzątka, których nie miało się akurat w posiadaniu powstawały z gliny czy plasteliny.

To zupełnie inny świat zabawek, który obserwuję dziś albo pamiętam ze swojego dzieciństwa. Sklepy oferują szeroki wybór mas plastycznych, zabawek do złożenia czy konstrukcji – z gotowymi wzorami. Wszystko podane na tacy, z instrukcją obsługi. Świat opowieści mojej babci ma coś magicznego, wciągającego. Kiedy o tym myślę, w głowie słyszę tylko moment z piosenki zespołu Perfect „Gdy nie bawi cię już świat zabawek mechanicznych”. Faktycznie, nie bawi. Zabawki babci miały duszę, moje miały już tylko konstrukcję...

Alicja Sienkiewicz



Lalkę na podstawie opowieści babci Alusi namalowała Julia Bloch, uczennica III LO

ELEKTRONICZNE GAZETY

W dzisiejszym świecie dużo mówi się na temat uzależnienia od telefonów, dlatego należy przyjrzeć się tej sprawie trochę dokładniej. Czy społeczeństwo XX w. było całkowicie niewinne i pozbawione zainteresowania informacjami, które obecnie przekazujemy sobie za pośrednictwem Internetu?

Codzienna sytuacja: Jadę autobusem do szkoły. Czuję na sobie świdrujący wzrok dziesięciu cieni. Dlaczego? Jaką straszną zbrodnię popełniam? Otóż trzymam w dłoni telefon. Taki piękny mamy poranek. Dlaczego więc nie podziwiam nieba? Cóż, sprawdzam pogodę, kontaktuję się z moją przyjaciółką, która niedawno przeprowadziła się do Irlandii, uczę się.

Tak, można uczyć się bez książek! Jest to nawet wygodniejsze, ponieważ nie muszę nosić ze sobą kilkudziesięciu encyklopedii. Zwykle robię zdjęcie tego, co mi potrzebne albo „pytam o coś wujka Google”.

Często też machinalnie przeglądam Facebooka lub coś oglądam. Nie czytam książek, ponieważ od czytania podczas jazdy robi mi się niedobrze. Po lekcjach potrzebuję odświeżenia i „odmłodzenia”, bo po całym dniu w szkole jestem potwornie zmęczona.

Bawi mnie, gdy ktoś, siedząc koło mnie w pojeździe komunikacji miejskiej mówi, że „za jego czasów

to rozmawiało się z pasażerem obok, a nie oglądało telefony...”. Oczywiście nie bezpośrednio do mnie, ale z taką dyskrecją, żeby słycał niemal cały autobus. Cóż, nie każdy ma na to ochotę.

Odnosnie małomówności młodzieży: jest mnóstwo archiwalnych zdjęć z miast w dwudziestym stuleciu, na których tłum ludzi w tramwaju lub pociągu zajmuje się jednym – przeglądaniem gazet. Przy czym większość czyta dokładnie to samo. Paradoksalnie: były to czasy, kiedy ignorowało się świat tylko po to, żeby czegoś się o świecie dowiedzieć.

Mówi się dziś o młodych, że są aspołeczni i nie potrafią rozmawiać z ludźmi twarzą w twarz. Nie jest to do końca prawda, a już na pewno nie można wszystkiego zrzucić na „te wstrętne telefony”. Może bardziej na brak czasu. Przecież kiedyś musimy się uczyć, a mam wrażenie, że materiału jest dużo więcej niż w czasach naszych dziadków czy rodziców. Dla nas telefony oznaczają głównie szybką komunikację z drugim człowiekiem, dostęp do informacji oraz różnych treści takich jak książki, filmy, muzyka czy gry. Internet zbliża też ludzi. Nierzadko zdarzają się sytuacje typu: „Ktoś gra w tę samą grę co ja? Zagadam! Może nawet znajomość zostanie na dłużej...”.

Proszę wziąć też pod uwagę fakt, iż w zasadzie

to starsi pokazali młodszym, jak używać komputera i komunikować się „bezlístownie”. Gdyby nie to pragnienie stworzenia „lepszego świata”, nadal uczylibyśmy się z jednego podręcznika na klasę. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni. Nie rozumiem dlaczego niektórzy nie mogą tego zaakceptować.

Każde pokolenie jest inne, a jednocześnie takie samo jak poprzednie. Fakt, spędzamy czas inaczej, wiele kontaktów przenieśliśmy do świata wirtualnego. Jednak zakochani dalej trzymają się za ręce w parku, dzieci biegają po placu zabaw, znajomi siedzą przy stolikach na Starym Mieście i przez pół godziny wybierają składniki pizzy.

Co to za różnica, czy umawiamy się na spotkania listownie, czy przez Messengera? Kogo obchodzi, co robimy ze swoim czasem w autobusie? Żyjemy otoczeni przez różne treści i informacje, do których kiedyś nie było dostępu. Czy nietaktem jest, że z nich korzystamy?

A może naszym przewinieniem jest po prostu młodość i czasy, w jakich przyszło nam żyć? Millenialsi nie robią niczego złego. Świata nie da się zatrzymać – zawsze będzie się zmieniać. Dlaczego mamy nie korzystać z jego możliwości?

Alicja Drozd



Komentarz redakcji PA.RY

Miejsca, gdzie dziś chętnie fotografują się młodzi ludzie, postanowiliśmy zestawić z miejscami, gdzie do zdjęć lubili pozować lublinianie w dwudziestym wieku międzywojennym. Na pierwszym miejscu było Krakowskie Przedmieście oraz Ogród Saski. W stałych miejscach czekali uliczni fotografowie zwani „lajkarkami” i oferowali wykonanie pamiątkowych zdjęć. Zazwyczaj ustawiali swoje aparaty w miejscach, gdzie chodnik był szerszy, bo tam mieli najwięcej swobody w fotografowaniu przechodniów. Robili im zdjęcia głównie w niedziele i święta, kiedy na ulicach był największy tłok. Odbitki gotowe były do odbioru jeszcze tego samego dnia, we wskazanym przez fotografa zakładzie.

INSTAGRAMOWA MAPA LUBLINA

Instagram to darmowa aplikacja, za pomocą której wrzucamy zdjęcia lub filmiki na własne konto i obserwujemy fotografie wykonane przez innych. Jest to idealna platforma dla początkujących, jak i zaawansowanych twórców. Umożliwia prezentację własnej twórczości i zdobycie sławy. Dzięki tej aplikacji można bez wychodzenia z domu udać się w podróż nie tylko po Lublinie, ale i po całym świecie. Jest dostępna dla osób w każdym wieku.

#SASKI

Ogród Saski to zielone płuca Lublina. Miejsce spotkań młodszych i starszych. Dom dla zwierzątek. Serce, które ciągle tętni życiem. Oaza na pustyni betonu.

#CSK

Współczesna architektura na wysokim poziomie. Najlepsze miejsce na inspirowane zdjęcia! Nowe profilowe – tylko w CSK (nasza internetowa sygnatura).

#FONTANNA #NA #LITEWSKIM

Wieczorem zachwyca spektaklami wody i światła. W ciągu dnia jest miejscem sesji plenerowych. Romantyczne miejsce, światowy klimat.

#ZALEW #ZEMBORZYCKI

Woda, rower, rolki, żagle.
Kierunek => SPORT I REKREACJA
Trochę zieleni i niebieskości!

#TARASY #ZAMKOWE

A po zakupach... Zmiana klimatu, czyli spacer pod gwiazdami przez kwieciste alejki na dachu. Z widokiem na Stare Miasto.

#ZAMEK #LUBELSKI

76 schodów i fascesy. A u jego stóp plac Zamkowy. Zamknięcie historii i teraźniejszości na jednym zdjęciu.

#PLAC #PO #FARZE

Rekonstrukcja fundamentów kościoła św. Michała. Tajemnicze punkty na mapie Starego Miasta, na które odpowiedź daje historia. Z panoramą na Zamek Lubelski.

#SCHODY #Z #WIERSZEM

A tak naprawdę zaułek Hartwigów. Urok, klimat, spokój.
„W ciemności” na schodach nadaje zdjęciu filozoficznej głębi.

#HEMPLA

Kultura pod graffiti. Centrum miasta i jednocześnie ustronne miejsce. Skatepark, stoliki do gry w szachy, rzeźby, plac zabaw...

Julia Bloch



„Lajkarzy” można było spotkać w takich miejscach:

Krakowskie Przedmieście

- * Obok budynku Banku Gospodarstwa Krajowego (dziś budynek Banku PEKAO SA).
- * Obok pałacu Morskich (dziś budynek Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury).
- * Obok budynków pokapucyńskich.
- * Obok Poczty Głównej.
- * Obok hotelu „Lublinianka”.
- * Plac Litewski – obok pomnika Unii Lubelskiej.
- * Obok budynku Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (dziś Sąd Okręgowy).

Ogród Saski

- * Przy wejściu.
- * Obok fontanny.



SZKOŁY DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

W odrodzonej Polsce dzień rozpoczęcia nauki w szkołach wszystkich typów: powszechnych, średnich, zawodowych i seminariach nauczycielskich przypadający na 1 września był spuścizną okresu zaborów. Była to bowiem tradycja rosyjska, której po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku nie zmieniono.

Znika senna pustka

W Lublinie, wraz z początkiem roku szkolnego, zapanało widoczne ożywienie. „Głos Lubelski” w 1932 r. donosił: „Miasto nasze ożywiło się, rzesza młodzieży i dżiatwy powracająca z wakacji do nowych szkolnych mozołów. Znika senna pustka, w jakiej zatępnęły ulice Lublina na czas ferii, upałów i wyjazdów letnich. Prace w szkołach rozpoczęte. Ruch na ulicach staje się żywszy, sklepy budzą więcej zainteresowania publiczności. Najbardziej może opustoszałe z wszystkich sklepów księgarne doczekały się do rocznego żniwa. Książki, zeszyty, ołówki, pióra, kalamarze – stały się dziś najbardziej wziętym towarem”.

Kilka dni wcześniej gazety lubelskie zamieszczały ogłoszenia o wolnych stancjach dla uczniów lub uczennic. 1 września, we wczesnych godzinach, młodzież szkolna ze sztandarami i orkiestrami maszerowała przez miasto do kościołów, gdzie odprawiane były okolicznościowe nabożeństwa. Uczniowie spotykali się w szkole. Obowiązywał ich strój odświętny. Przyniesli książeczki do nabożeństwa, a uczniowie wyznań niekatolickich przychodzili do szkoły wyłącznie w celu „poinformowania się o zajęciach szkolnych”.

Po południu rozpoczynały się poszukiwania podręczników i był to jeden z najprzyjemniejszych rytuałów związanych ze szkołą. Można było je kupić w licznych księgarniach przy Krakowskim Przedmieściu i Namiestnikowskiej (od 1928 r. ul. Narutowicza). Księgarnia Gebethnera i Wolffa miała swoją siedzibę w hotelu „Europa”. Inna znana księgarnia, Św. Wojciecha, wynajmowała pomieszczenia w budynku pod numerem 43, wybudowanym dla Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (obecnie mieści się w nim siedziba Sądu Okręgowego) przy Krakowskim Przedmieściu. Lokalizacja księgarni nie była przypadkowa: centrum miasta, główna ulica handlowa i najatrakcyjniejsza przestrzeń publiczna. Podobną rangę miała ulica Narutowicza, a ponadto tutaj funkcjonowały prestiżowe placówki oświatowe różnego typu, między innymi do 1929 r. Szkoła Powszechna nr 21 im. Królowej Jadwigi, od 1933 r. Gimnazjum Państwowe Żeńskie im. Unii Lubelskiej, a także od 1919 r. Państwowe Gimnazjum im. Stanisława Staszica. W latach 30. XX w. szkoła ta przeniosła się do nowego gmachu przy Alejach Racławickich 26.

„Podręczniki z siedliskiem gruzlicy”

Popularny był też inny sposób zdobywania podręczników – giełda uczniowska na chodniku przy ul. Narutowicza, naprzeciw stojącej tam jeszcze wówczas wieży ciśnień. Ten proceder nie znajdował jednak uznania. „Głos Lubelski” krytykował: „niezdrowy objaw, jakim jest handel książkami wśród młodzieży, prawie dzieci, zwracamy uwagę kompetentnych władz szkolnych...”. Dalej gazeta skupiała uwagę czytelnika na konsekwencjach takiego handlu: „Pomijając fakt samej wymiany podręczników, połą-



Klasa IIa Szkoły Powszechnej nr 25 w Lublinie, fotografia wykonana w roku szkolnym 1926/1927 [APL, Zespół: Szkoła Powszechna nr 25 w Lublinie, sygn. 4: Korespondencja Szkoły Powszechnej nr 25 w Lublinie, karta 169].

czoney z namiętnymi targami o każdy grosz – co bynajmniej wychowawczo na młodzież nie wpływa, należy wziąć pod uwagę warunki higieniczne, w jakich handel jest prowadzony. Podręcznik używany, pochodzący niejednokrotnie z rąk dziecka chorego, zawiera mnóstwo wszelkiego rodzaju zarazków, a dostając się do rąk dziecka zdrowego staje się siedliskiem różnych chorób, głównie gruzlicy...”. Podobna giełda mieściła się także na placu Bychawskim.

Wśród szkolnych podręczników wyjątkowy i niezapomniany był elementarz Falskiego, chociaż nie był to jedyny obowiązujący podręcznik do nauki czytania i pisania w okresie międzywojennym. Po raz pierwszy książka została wydana w 1910 roku. Towarzyszyła uczniom nawet po II wojnie, do 1973 r. Podręcznik zmieniał się, dostosowywał swoją szatę graficzną do gustów epoki. Wydanie z roku 1926 zdobią ilustracje o motywach ludowych, wykonane przez malarza i drzeworytnika Władysława Skoczylasa. W tym właśnie okresie, około połowy lat dwudziestych, gdy aplauz publiczności zdobyła sztuka wystawiona w pawilonie polskim na Wystawie Paryskiej w 1925 roku, wykorzystująca przetworzone motywy sztuki rodzimej, podręcznik był nie tylko pożytecznym i koniecznym, ale także atrakcyjnym nabytkiem dla pierwszoklasisty.

Dziadek noblistki i zegar w miejscu III LO

Osiągnięcia odrodzonej RP w dziedzinie szkolnictwa lepiej dostrzec można, gdy porównamy nową sytuację z okresem wcześniejszym.

Wróćmy więc na chwilę do realiów szkolnictwa w Lublinie jeszcze w czasach zaborów. Po powstaniu styczniowym, w 1863 roku, rosyjskie władze zintensyfikowały akcję rusyfikacyjną. Zainteresowanie skupiły głównie na dzieciach i młodzieży, a szczególnie na gimnazjalistach, uczniach szkół przygotowujących ówczesnie do studiów uniwersyteckich. Presja, by młodzież posługiwała się językiem rosyjskim, była wszechobecna i dotyczyła nie tylko terenu szkoły, ale także miejsc publicznych, a nawet stacji.

Kary cielesne stosowano raczej w szkołach początkowych, używając do tego miotłki z różg brzoźowych. W szkołach średnich większą wagę przykładano do nadzoru nad uczniami: zalecano wychowawcom odwiedzać stancje i domy uczniów, określać i sprawdzać książki, jakie mogą czytać. W gimnazjach męskich, gdzie rolę wychowawców pełnili profesorowie, zatrudniano dodatkowo dwóch, trzech mężczyzn pomagających w dozorcze uczniów. W gimnazjach żeńskich to zadanie spoczywało na damach klasowych.

W tym okresie, jednym z ważniejszych wydarzeń w Lublinie było oddanie do użytku nowego gmachu gimnazjum męskiego, zbudowanego w 1859 r. przy ul. Namiestnikowskiej 12 (obecny Wydział Pedagogiki UMCS, Narutowicza 12). Dyrektorem gimnazjum został powszechnie szanowany Józef Skłodowski, dziadek Marii Skłodowskiej-Curie. Gimnazjum żeńskie od 1866 r. mieściło się w tak zwanym pałacu Tarłów (obecnie Wojewódzki Dom Kultury), przed którym specjalnie dla uczennic założono zieleń z zegarem słonecznym. Nie ma już zieleńca i zegara, bo w latach 50. XX w. w tym miejscu został postawiony budynek Szkoły Podstawowej nr 12, który w latach 60. XX wieku zajęło wyłącznie Liceum im. Unii Lubelskiej.

Koniec z genealogią Habsburgów

Revolucja 1905 roku przyniosła szereg pozytywnych zmian na ziemiach polskich, będących pod zaborem rosyjskim. Na terenie gimnazjów państwowych zakładano organizacje samokształceniowe, których rola polegała na nauczaniu języka polskiego i hi-

storii Polski, oraz wychowywaniu niezależnie myślącej młodzieży. Przede wszystkim jednak, po fali strajków szkolnych w 1905 r., założone zostały w Lublinie prywatne szkoły, których tradycja jest kontynuowana do dziś. Były to: ośmioklasowa filologiczna prywatna szkoła im. Stanisława Staszica i Szkoła Lubelska, która od 1934 r. funkcjonowała pod nazwą Prywatna Męska Szkoła Średnia Ogólnokształcąca im. Stefana Batorego. W 1905 r. przy ul. Bernardyńskiej 12 oddany został do użytku nowy gmach szkoły handlowej (szczycącej się tradycją sięgającą 1860 r.), od 1927 r. noszącej imię przemysłowców lubelskich Augusta i Juliusza Vetterów – jednych z największych jej darczyńców.

Ówczesne szkolnictwo na poziomie podstawowym nie miało równie ciekawej historii. Dopiero w okresie I wojny, gdy pojawiła się nadzieja odzyskania niepodległości, podjęte zostały kroki, które doprowadziły do utworzenia szkolnictwa powszechnego. Tak więc, zanim jeszcze z Królestwa Polskiego wycofały się wojska rosyjskie, a wraz z nimi administracja zaborcza, powołana została Rada Szkolna Ziemi Lubelskiej, która miała uruchomić szkolnictwo powszechne i średnie oraz wprowadzić tymczasowy program nauczania. Przypomnijmy jednak, że był to okres austriackiej okupacji Lublina. 1 października 1917 r. władze polskie (co prawda jeszcze tymczasowe), z myślą o przyszłej wolnej ojczyźnie, przejęły zarząd szkolnictwa. Był to moment, w którym zakończył się krótkotrwały, bo około dwuletni, okres nauczania genealogii Habsburgów, śpiewania hymnu austriackiego, odmawiania modlitw za cesarza i przymusu uczenia się języka niemieckiego.

W II RP

W niepodległej Polsce wszystko miało być inne, nowe i lepsze. Najważniejszą sprawą były podręczniki. Nareszcie już nie rosyjskie, jak w okresie zaborów i nie galicyjskie, jak planowali Austriacy w okresie bytności w Lublinie.

Inny miał być kalendarz szkolny. Nauka nadal miała rozpoczynać się 1 września, ale zmienił się terminarz wolnych od zajęć dni świątecznych. Zarządzono grudniowe wakacje w okresie Bożego Narodzenia, drugie, „ruchome” wakacje świąteczne w okresie świąt wielkanocnych w marcu lub kwietniu, dni wolne od nauki w trzeciomażowej święto narodowe, a także: 8 maja na św. Stanisława, w święto Wniebowstąpienia Pańskiego i w okresie innych kościelnych świąt czerwcowych. Lista wydłużyła się, gdy 11 listopada zamiast codziennych zajęć szkolnych wszyscy nauczyciele i młodzież szkolna świętowali dzień odzyskania niepodległości.

W lutym 1918 r. stworzony został odrębny okręg szkolny obejmujący wyłącznie miasto Lublin, a nie jak wcześniej cały powiat. W pierwszym okresie większość szkół mieściła się w ponad stu pomieszczeniach wynajmowanych od prywatnych właścicieli. Wynajem zaspokajał doraźne potrzeby, ale warunki, w których uczyły się dzieci, pozostawały wiele do życzenia. Trudne były zwłaszcza warunki sanitarne, bo większość budynków, w których prowadzone były lekcje, nie miała kanalizacji i toalet.



Projekt szkoły powszechnej przy ulicy św. Mikołaja 10 (obecnie ulica Szkolna), projekt niedatowany, niesygnowany. [APL, Inspekcja budowlana, [1926-]1944-1950[1951], sygn. 5364: Akta nieruchomości położonej w Lublinie przy ul. św. Mikołaja 10, karta 4].

JAK SZKOŁY Z LUBLINA

PROWADZIŁY DYPLOMACJĘ Z USA



Waszyngtońska biblioteka do dziś przechowuje 111 tomów, które miały zapewniać Stany Zjednoczone o przyjaźni Polski. Swoje podpisy złożyły też szkoły z Lublina, m.in. należąca do ogólnopolskiej sieci ortodoksyjnych placówek Bejs Jakow.

W 1926 r. Ameryka świętowała 150 rocznicę Deklaracji Niepodległości. Z tej okazji Polacy przygotowali wyjątkowy prezent – Polską Deklarację o Przyjaźni i Podziwie dla Stanów Zjednoczonych. Podpisało ją ponad pięć i pół miliona osób. A to była 1/6 przedwojennej ludności Polski.

Deklaracja została przekazana prezydentowi Stanów Zjednoczonych Calvinowi Coolidge'owi. Zaczynała się od słów: „Naród Polski przesyła Obywatelom Wielkiej Unii Amerykańskiej braterskie pozdrowienie wraz z zapewnieniem najgłębszego podziwu dla stworzonych przez Was instytucji, w których Wolność, Równość i Sprawiedliwość znalazły swój najwyższy wyraz, stając się gwiazdą przewodnią dla wszystkich nowoczesnych demokracji”.

Do dziś ten dokument przechowuje Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie. To w sumie aż 111 tomów, zawierających ponad 30 tysięcy stron, w tym wiele ilustrowanych lub ozdobionych fotografiami. Ta deklaracja to nie tylko przykład dyplomacji prowadzonej przez Polskę w okresie międzywojennym. Trzydzieści lat później wybuchła II wojna światowa. – Dla tych, którzy nie przeżyli wojny, w wielu przypadkach, podpisy w tej deklaracji są jedynym świadectwem, że istnieli* – mówił o dokumencie Samuel Ponczak, kierujący projektem digitalizacji.

Listę podpisów rozpoczął prezydent Ignacy Mościcki, za nim wpisał się arcybiskup, metropolita warszawski w latach 1913-1938 Aleksander Kakowski a następnie cała Rada Ministrów z premierem Kazimierzem Bartelem na czele. Do akcji przyłączyli się także przedstawiciele samorządów lokalnych, organizacji społeczno-politycznych, przemysłowcy, wojsko a także miliony uczniów. Z całej Polski, w tym także z Lublina.



Deklarację poparli m.in. uczniowie 7-klasowej Szkoły Powszechnej nr 3 im. Bolesława Chrobrego na Czwartku, a także żeńskiej 7-klasowej Szkoły Powszechnej Bejs Jakow, która działała przy ul. Królewskiej 3.

Ta ostatnia placówka była jedną z żydowskich szkół Lublina. Należała do sieci ortodoksyjnych szkół religijnych międzywojennej Polski i przeznaczona była dla dziewcząt. Pierwszą placówką Bejs Jakow założyła w 1917 roku w Krakowie Sara Szenirer, żydowska działaczka społeczna (nazwa wywodzi się od bet jaakov co znaczy Dom Jakuba).

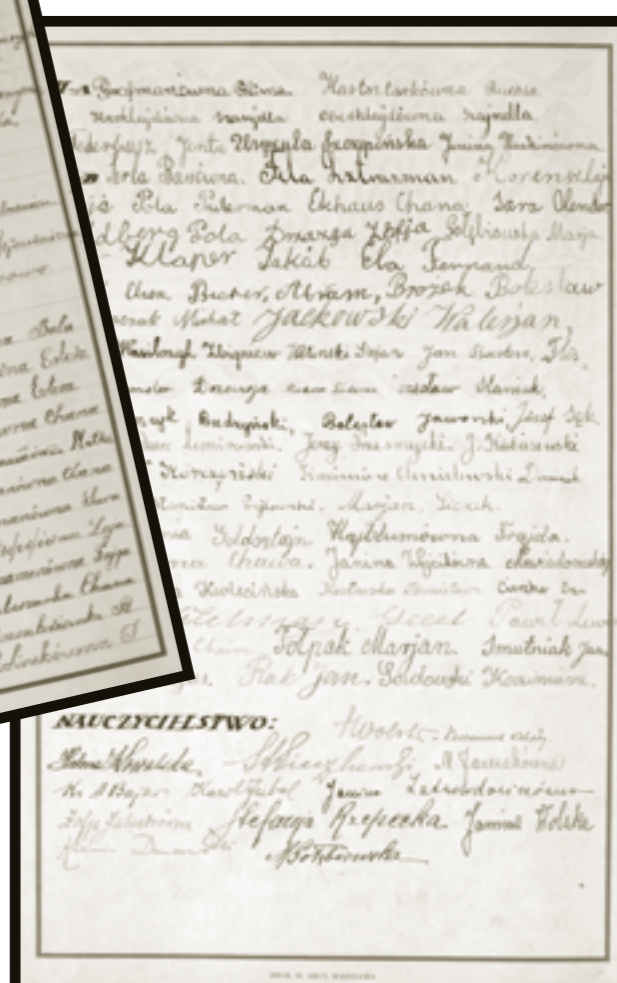
Szkół żydowskich w Lublinie było więcej i to także na szczeblu wyższym. Poeta Konrad Bielski we wspomnieniach o międzywojennym Lublinie, spisanych w publikacji „Most nad czasem” (Lublin 1963) zanotował: „W Lublinie istniały wtedy dwie średnie szkoły żydowskie. Gimnazjum Humanistyczne i tzw. Szkoła Szperowej. Były to zasadniczo szkoły z wykładowym językiem polskim, miały jednak pewną specyfikę. W sobotę nie było lekcji; w niedzielę odbywały się normalne zajęcia. Wszystkie święta żydowskie były wolne od nauki. W gimnazjum [żydowskim] wykładano zasady religii żydowskiej i języka hebrajskiego; wykładowcą był uznany specjalista. Poza tym program w zasadzie nie różnił się od normalnych szkół polskich”.

Wspomniana szkoła Szperowej mieściła się przy Zamojskiej 12. Założył ją w 1916 r. Szymon Szper. Od 1919 roku prowadziła ją wdowa po założycielu – Róża Szper. Konrad Bielski uczył w niej łaciny. Wspominał tak: „Dobrze pamiętam tę pierwszą moją maturę u Szperowej. Egzamin piśmienny odbył się z braku odpowiedniej sali w lokalu żydowskiego klubu towarzyskiego przy ulicy Szopena”.

W 2017 r. cała Deklaracja o Przyjaźni i Podziwie dla Stanów Zjednoczonych została zdigitalizowana i udostępniona na stronie Biblioteki Kongresu.

Małgorzata Domagała

* Cytat oraz niektóre informacje pochodzą ze strony internetowej Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie www.washington.msz.gov.pl. Korzystałam także z tekstu Agnieszki Oleszak „Warsztat krawiecki zmienia się w szkolną klasę”, Cwiszn, nr 3/2011



NASZ DZISIEJSZY BOHATER ZAJMUJE SIĘ EDUKACJĄ – W INSTYTUCIE KRAJOBRAZU W KUL. ZAJMUJE SIĘ PROJEKTOWANIEM, DESIGNEM, KREACJĄ, KSZTAŁTOWANIEM PRZESTRZENI. OD PONAD DWÓCH LAT TWORZY INSTALACJE ARTYSTYCZNE...

LE CZ DZISIAJ ZAJMIEMY SIĘ JEDNĄ Z JEGO PASJI, CZYLI FOTOGRAFIKĄ KREATYWNĄ.

Dzień dobry! Komiksowego wywiadu jeszcze nie udzielałem. Ciekawi mnie jak wyjdzie.

JAK ZWYKLE SUPER!

Źródło: Paweł Totoro Adamiec

KREACJA

KOMIKS DO PARY

scenariusz: Maciej Tuora
rysunki: Maciej Pałka

JAK TO SIĘ ZACZEŁO?

Wcześniej robiłem kostiumy i charakteryzację, które w czasach studenckich połączyłem z fotografią. To mój artystyczny wyraz i kreacja, którą stworzyłem.

POPATRZCIE JAK TO WYGLĄDA!

Na początku, na studiach, robiłem to zupełnie amatorsko.

Kostiumy na otrzęsiny, trochę do telewizji.

Po studiach, zacząłem pracę w instytucie - dokumentowałem fotograficznie materiały.

Stwierdziłem, że kostiumy i fotografia będą połączeniem.

Zacząłem mi to napędzać do dalszych działań artystycznych i do tej pory napędza.

Najczęściej zgłaszają się do mnie ludzie z zewnątrz, którzy widzieli moje prace.

Pytam się o rolę w jaką chcą się wcielić, co chcą nią wyrazić.

Kilka razy odmówiłem sesji, ponieważ ktoś musi to czuć i potrafić zagrać - odtworzyć te światy.

Zgłaszają się do mnie firmy, ale mam na tyle wypracowaną markę, że mam dużą swobodę.

Kiedyś ktoś powiedział, że to wszystko tworzy się we mnie z kompleksów.

Być może coś w tym jest. Traktuję pracę kreatywną jako rodzaj terapii.

Mam czas dla siebie. Szukam odpowiedniej twarzy, kostiumu, miejsca...

Tworzenie światów i ludzi, jest odskocznią od rzeczywistości. Samorealizacja to po prostu wielka przyjemność.

Pierwsze kostiumy były jednorazowe. Przerabiałem je, niszczyłem po końcu pracy.

Zdałem sobie jednak sprawę, że kostium sam w sobie ma ogromną wartość.

Piwnicę i mieszkanie mam całe w kostiumach. Spię i żyję między nimi.

Moja twórczość rozlewa się w różnych kierunkach, to mi się bardzo podoba.



— PANEŁ TOTORO ADAMIEC —

ARCHITEKT KRAJOBRAZU, ARTYSTA WIZUALNY, FOTOGRAF, CHARAKTERYZATOR. WYKŁADOWCA KUL I LUBELSKIEJ SZKOŁY FOTOGRAFII. DZIEKUN KIERUNKU FLORYSTYKA W SPSS. SWOJE PRACE PUBLIKOWAŁ W WIELU ŚWIATOWYCH I POLSKICH WYDAWNICTWACH I PORTALACH. LAUREAT WIELU NAGRÓD I WYRÓŻNIEŃ. AUTOR OKŁADKI DO PIERWSZEJ POLSKIEJ ENCYKLOPEDII MODY FASHION BOOK POLAND ORAZ KATALOGU POLSKIEGO WZORNICTWA POLISH DESIGN. CZŁONEK FUNDACJI KULTURY AUDIOWIZUALNEJ BEETLE.PL ORAZ AGENCJI MULTIMEDIAŁNEJ KAIJU.PL.

NA POTRZEBY SESJI ZDJEŃCOWYCH WYKONUJE KOSTIUMY, MAKIJAŻE, FRYZURY I SCENOGRAFIE, SIEGAJĄC PO NIETYPOWE MATERIAŁY I MIESZANE TECHNIKI PRACY. INSPIRACJI SZUKA W PRZYRODZIE, MUZYCE I BAŚNIACH ORAZ W ŚWIECIE MODY.

ZRÓB TO SAM!

